

Niecodziennik podróżniczy



Góry Alborz/Elburs w promieniach wschodzącego słońca, fot. zewpodrozy.pl

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Iran, Azerbejdżan, Mongolia, Rosja, Wyspy Zielonego Przylądka, Norwegia, Spitsbergen... wielka rozbieżność kierunków, które łączy osoba jednego podróżnika. Pochodzący z Łańcuta Michał Lars Bardian, który w tym roku obronił licencjat z filologii norweskiej, odpowiada stale na „zew podróży”, wzywający go do odbywania coraz to nowych wypraw, które relacjonuje na swojej stronie internetowej i na profilach społecznościowych.

Już samo wejście na stronę internetową Michała ma posmak przygody. Autor ostrzega gości, że przy czytaniu niektórych sprawozdań mogą zarazić się bakterią o nazwie „Szwędacz-Bacillus”. Sam złapał ją już w dzieciństwie od swojego ojca, który do dziś jest aktywny turystycznie. Cała rodzina spędzała prawie każdy weekend w górach, a na wakacjach wyjeżdżała do krajów europejskich, czy Azji Mniejszej. Podróżowali samochodem, nocowali pod namiotem, bez zbędnych wygód, za to aktywnie i w bliskim kontakcie z naturą. Czasami przyrządzali posiłek z tego, co zebrali w lesie, lub złowili.

Na niektóre wyjazdy zabieraliśmy wędki i łowiliśmy ryby, które spożywaliśmy na kolację, albo na obiad – opowiada Michał – W Norwegii są na przykład bardzo dobre łowiska. Zdarzały się przy tym zabawne sytuacje. Raz holowaliśmy

jedną ogromną rybę przez całą noc, aż w końcu urwała się z haczyka. Udało nam się zobaczyć jej kontury, jak zbliżała się do powierzchni wody, przypominała kształtem halibuta.



Arktyka, fot. zewpodrozy.pl

Fascynacja Północą

Michał jest zakochany w Norwegii od czasu, kiedy z rodzicami odwiedził ten kraj po raz pierwszy. Trzy lata później zaczął samodzielnie uczyć się języka norweskiego, a kończąc liceum zdecydował się na studia filologiczne. Tak wspomina swój pierwszy, samodzielny wyjazd do Norwegii, dokąd udał się po maturze, w towarzystwie znajomych:

Pojechaliśmy do jednej z miejscowości na zachodzie, do Odda. Chodziliśmy tam wprawdzie normalnymi szlakami turystycznymi, ale spaliśmy oczywiście w namiotach, bądź w hamakach. Był to dość wymagający pobyt, bo przypadł w wyjątkowo deszczowym maju. A według statystyk zachodnia Norwegia najbardziej zadeszczone miejsce w Europie. Używaliśmy folii malarskiej do ochrony, ale mimo to wilgoć nam mocno doskwierała. Największy problem był z suszeniem ubrań, ponieważ padało non stop. Suszyliśmy je na dworcach autobusowych.

Michałowi prawie zawsze towarzyszy w podróżach ktoś z przyjaciół. W 2016 roku wybrał się na Svalbard wraz z muzykiem-saksofonistą Kamilem Malinowskim. Relacja z ich wyprawy została zamieszczona na portalu „Moja Norwegia”. Svalbard to królestwo białych niedźwiedzi i dziewiczej, arktycznej przyrody. Polscy podróżnicy odkryli przy tej okazji miejscowy zwyczaj:

Zajrzeliśmy do tamtejszego kościoła, w którym znajdowały się półeczki i pojemniki na składowanie broni, którą nosi się na wszelki wypadek, gdyby zaszła konieczność obrony przed niedźwiedziem. Takie same półeczki są w lokalnym markecie. Składowanie broni po to, żeby nie wchodzić z

nią do pomieszczenia, gdzie inni ludzie mogliby poczuć się niekomfortowo w obecności osoby uzbrojonej.



Główna droga do Ulan Bator, fot. zewpodrozy.pl

Śladami Czyngis-Chana

Równie ciekawe są opisy przeżyć Michała w krajach dalekowschodnich, gdzie panują odmienne warunki pogodowe.

Klimat kontynentalny jest surowy. Lata są gorące, zimy bardzo mroźne, ale za to przez większą część roku świeci słońce. A jeśli świeci w zimie, to ludzie mają lepszy nastrój – zapewnia podróżnik.

Podczas pobytu w Mongolii, Michał obserwował życie codzienne mieszkańców, był nawet świadkiem odprawiania rytuałów szamańskich. Doświadczył gościnności ludzi Wschodu, którzy zapraszali go na posiłek, lub podwozili do określonego miejsca, choć uważa, że nie tylko w tej części świata można spotkać się z ciepłym przyjęciem.

Ludzi gościnnych i dobrych można spotkać wszędzie. Na przykład w Norwegii nie korzystaliśmy ze „stopa”, ale jak raz szliśmy wzdłuż drogi, zatrzymała się para jadąca samochodem i zaproponowała nam podwiezienie. Doświadczyliśmy więc życzliwości także na Zachodzie.

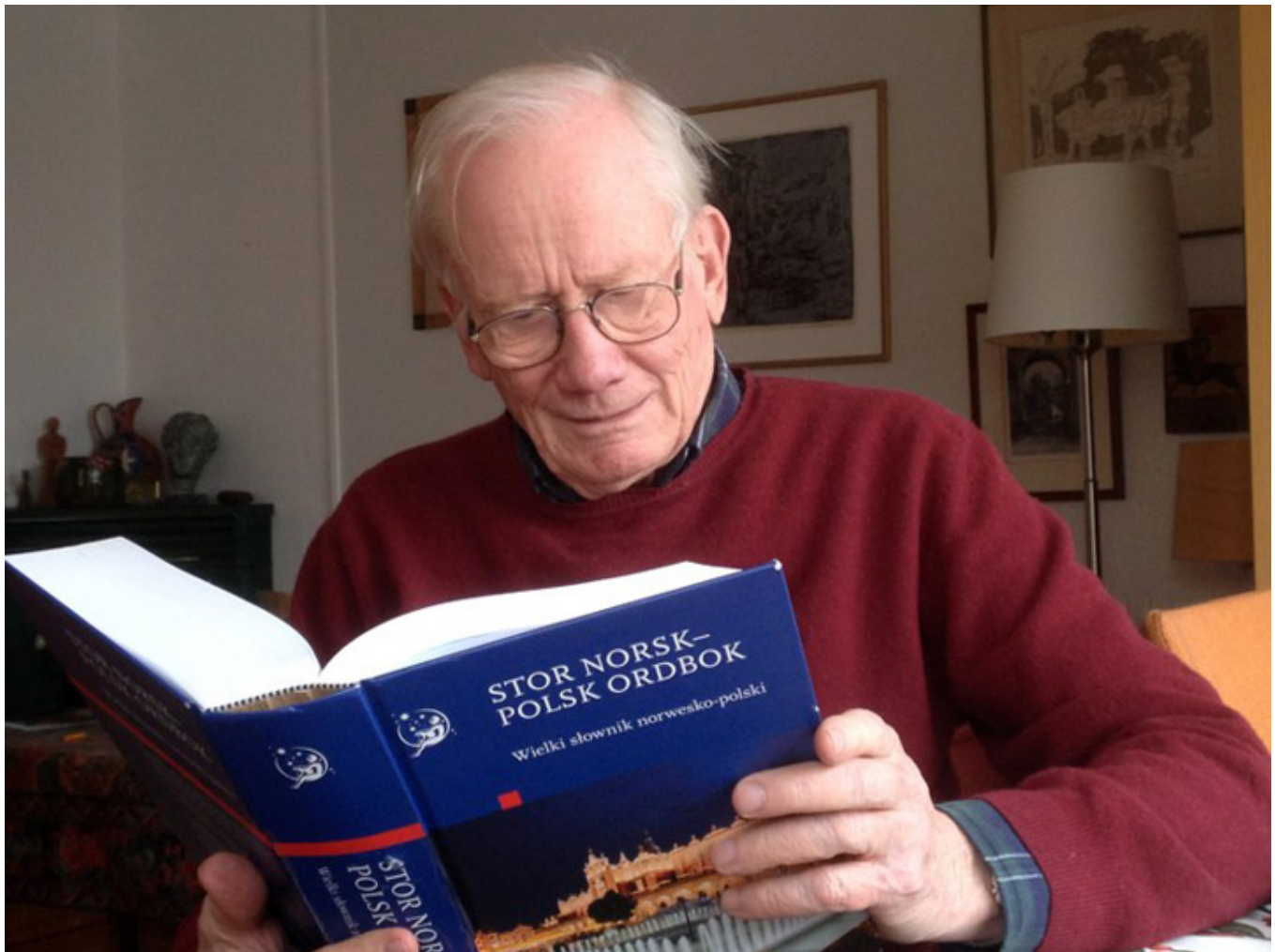
Michał rozpoczął też studia azjatyckie ze specjalnością język chiński i właśnie ma okazję posługiwać się tym językiem na co dzień.

Zacząłem uczyć pięcio- i sześćioletnie dzieci języka

angielskiego w prywatnej szkole w Urumczy, w prowincji Sinciang. Nie znałem wcześniej tej części Chin. Ta prowincja ma bardzo ciekawe położenie geograficzne, mieszkam u samego podnóża gór Tien-Szan. Postaram się w wolnym czasie zwiedzać ten region, nagrywać vlogi na moim kanale Youtube, publikować sprawozdania na Facebooku i na mojej stronie internetowej: www.zewpodrozy.pl

Z miłości do języka

W ubiegłym roku ukazał się „Stor norsk-polsk ordbok” (Wielki słownik norwesko-polski) owoc ponad dwudziestoletniej pracy Ole Michaela Selberga. Jest to największy i najlepiej opracowany słownik, jaki istnieje na rynku. Każdy, kto uczy się języka norweskiego lub pragnie pogłębić swoją wiedzę na ten temat powinien go mieć.



Ole Michael Selberg, fot. Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon

Zanim porozmawiamy o słowniku, chciałabym się dowiedzieć jaka była pana droga do języka polskiego? W jaki sposób rodowity Norweg stał się znakomitym tłumaczem i leksykografem?

Ole Michael Selberg

- Można powiedzieć, że moja droga do języka polskiego wiodła przez... język rosyjski. Gdy byłem w wojsku, poznałem język rosyjski i zostałem tłumaczem wojskowym. Pierwszy kontakt z

językiem polskim miałem w roku 1963, kiedy przyjechałem do Warszawy. Była wtedy tzw. zima stulecia. Wprowadziłem się do akademika na Anielewicza w Warszawie i było tam strasznie zimno, ponieważ pociągi z węglem ze Śląska utknęły po drodze.

Był pan Norwegiem marznącym w Polsce, ciekawe.

- Byłem jednak zahartowany, więc nie cierpiałem tak bardzo. Jednak ówczesna Warszawa, szczególnie zimą, wywierała przygnębiające wrażenie: chodziło się tam po mieście, gdzie strasznie wiało, szczególnie przy Pałacu Kultury. Wymagało to trochę przyzwyczajenia. Na Anielewicza mieszkałem w jednym pokoju z Bułgarem, który doktoryzował się z geografii, ale miał trochę „trudny” - jak na tamte czasy - życiorys, bo jego ojciec był popem. W pokoju obok mieszkał natomiast Peter Raina, historyk pochodzenia indyjskiego, który przeniósł się potem do Berlina Zachodniego i wydał szereg książek o polskiej historii, m.in. o kardynale Wyszyńskim. Było to dość ciekawe towarzystwo. Potem wróciłem do Norwegii i wybrałem język polski jako specjalizację. W latach 70. dużo podróżowałem do Polski jako tłumacz. Po raz pierwszy było to w 1967 r. z ówczesnym norweskim ministrem spraw zagranicznych Johnem Lyngiem. W tym czasie polskim ministrem spraw zagranicznych był Rapacki. Potem jeździłem z różnymi ministrami, towarzyszyłem również polskim politykom, którzy tu przyjeżdżali, np. Jaroszewiczowi podczas audiencji u króla w 1977 roku.

Który z ówczesnych polskich polityków był najbardziej przystępny?

- Muszę powiedzieć, że Jaruzelski.

Nie pomyślałabym. Przejdźmy do słownika. Czym Wielki słownik norwesko-polski się wyróżnia? I co jest w nim wyjątkowego?

- Jest to słownik przygotowany w dużej mierze w oparciu o koncepcję Walerego Bierkowa. Był to wybitny leksykograf, który opracował wielki słownik rosyjsko-norweski. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1987 w Związku Sowieckim.

Mój słownik z założenia ma uwzględniać potrzeby obu grup użytkowników, Polaków i Norwegów. I dlatego mówi zarówno o wymowie norweskiej jak i polskiej. Większość Polaków ma trudności w rozróżnieniu tonemów norweskich. A nawet, jeśli je rozróżniają, to często nie używają ich we właściwy sposób. Jednak z drugiej strony można zrozumiale mówić po norwesku bez tej wiedzy i wielu Polaków tak robi. Uważam jednak, że warto o tym informować, choćby z tego względu, aby uświadomić, że dla Norwega jest to różnica. Słownik uwzględnia również kwestię, gdzie przebiega granica w złożeniach między elementami złożzeń, ponieważ to odgrywa rolę dla wymowy. Np. to, że *iste* (herbata mrożona) jest złożeniem składającym się z

elementów *is* (lód) i *te* (herbata), sprawia, że *e* końcowe wymawia się tak jak *e* w *te*, podczas gdy w *iste* (czas przeszły od czasownika *ise*) *e* ulega osłabieniu i realizowane jest jako tak zwane szwa, czyli niewyraźne *e*. Dla Norwega różnica jest wyraźna. Inna kwestia to iloczyn samogłosek. W *ledning* (przewód) *e* jest długie, a w *redning* (ratowanie, ratunek) jest krótkie i należy tej różnicy przestrzegać.

Mogę powiedzieć, że nie ma innego słownika polsko-norweskiego, który tak szczegółowo informuje o norweskiej wymowie.

Jeśli chodzi o gramatykę, to staram się obszernie informować o różnych odmianach stylistycznych. Zadbalem też o to, aby łatwo było znaleźć, to, co po angielsku nazywa się *phrasal verbs*. Oczywiście jest duże podobieństwo między językami skandynawskimi a angielskim. Na przykład przy czasowniku *slå* jest bardzo dużo czasowników frazowych. Staralem się też informować, jak należy oddać pewne norweskie konstrukcje. Na przykład, gdy mamy *tytuł powieści* lub *prezes towarzystwa* po polsku, to jak oddać te dopełniacze? Można powiedzieć *romanens tittel* i *foreningens formann*, ale można powiedzieć też *tittelen på romanen* i *formannen i foreningen*. To ostatnie jest obecnie bardziej popularne i częściej używane, mimo że takie zastępowanie dopełniacza różnymi przyimkami raczej komplikuje język.

A co sprawia lub może sprawiać największe trudności Norwegom uczącym się języka polskiego?

- Język polski i norweski są pod wieloma względami różne. Z jednej strony język polski ma bardzo skomplikowaną morfologię, obfitującą w różne wyjątki i nieprawidłowe formy, które sprawiają oczywiście problemy norweskim studentom języka polskiego, ale z drugiej strony, kiedy prowadziłem na uniwersytecie kurs języka polskiego, to pocieszałem początkujących tym, że pod jednym względem język polski jest szalenie prosty, mianowicie pod względem wymowy. Co może zdziwić wielu ludzi, ponieważ, gdy przygląda się polskiemu językowi w postaci drukowanej wygląda on dość skomplikowanie, te wszystkie *sz, cz, rz, ż...*, głoski szeleszczące itd. Ale jeżeli student potrafi opanować reguły polskiej wymowy, to zawsze można wywnioskować jak się dane słowo wymawia. Są bardzo nieliczne odstępstwa, takie jak *marznąć, piętnaście*. Język polski ma idealnie prostą prozodię, bo akcent prawie zawsze spoczywa na przedostatniej sylabie. Nie ma również różnicy między głoskami długimi i krótkimi, nie ma również tonemów. I dlatego w moim słowniku w niewielkim stopniu muszę informować o polskiej wymowie.

Każdy język się rozwija: zmieniają się normy językowe, formy gramatyczne, pojawiają się nowe słowa, inne wychodzą z użycia. Zmiany języka to dylemat, przed którym

staje każdy twórca słownika. Czy pański słownik uwzględnia ten nowy obraz języka?

- Pracowałem nad tym słownikiem ponad dwadzieścia lat, ale w porównaniu z czasem tworzenia innych dużych słowników jest to niewiele. Na przykład Akademia Szwedzka wydaje słownik, który jeszcze nie doszedł do ostatniej litery, nad którym pracuje już ponad sto lat. I wtedy te problemy stają się odczuwalne. Jeśli chodzi o mój słownik, to pomagał mi Gunnar Arneson, który dołączył w roku 2008; wspólnie opracowaliśmy kilka liter. Starłem się uwzględnić zmiany języka. Na przykład czytając prasę polską i norweską często robiłem notatki z myślą właśnie o słowniku. Przygotowałem nawet nowe wydanie, które mam nadzieję będzie miało okazję się ukazać. Jest tam prawie 400 nowych haseł.

Czy łatwo dokonać zmian w tak dużym słowniku? Czy wymaga to dużych nakładów technicznych?

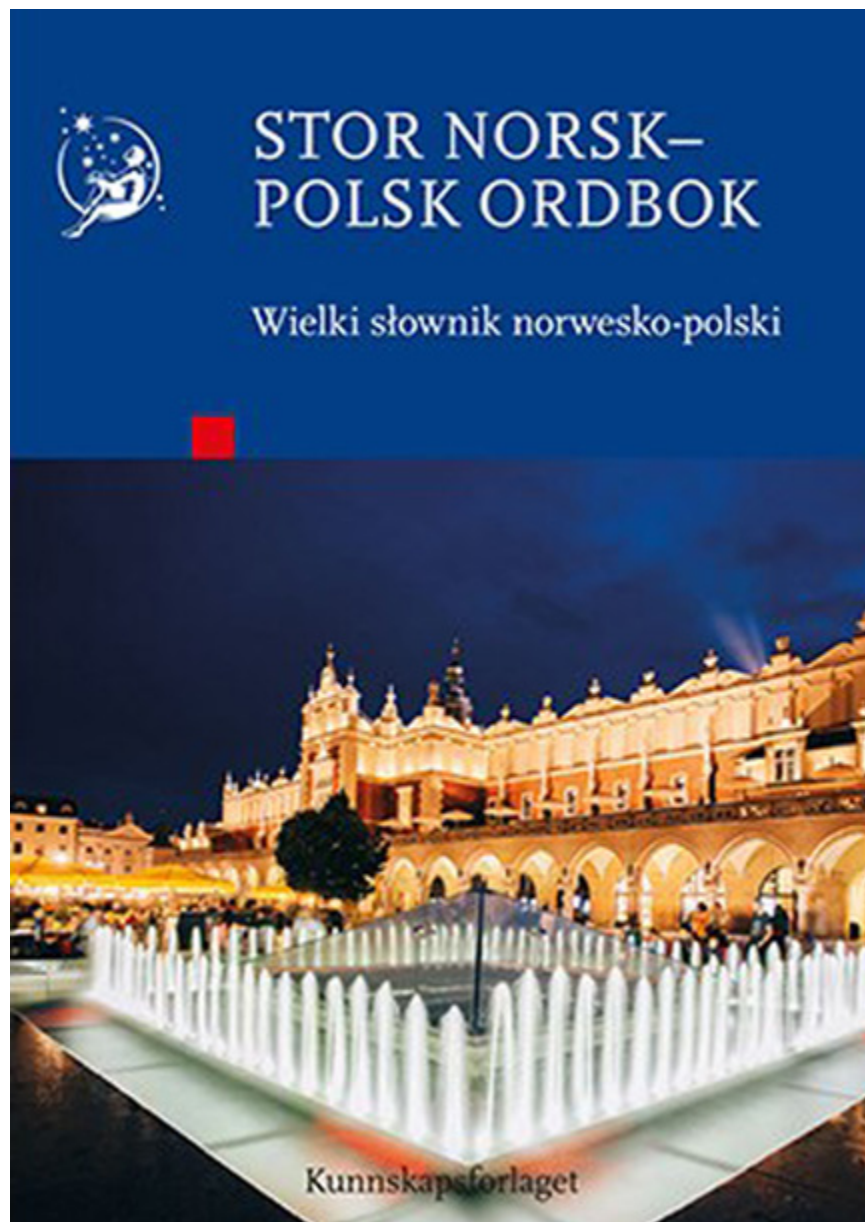
- Dokonanie zmian jest rzeczą łatwą i prostą, ponieważ słownik powstał w programie TeX. Łatwo wprowadzać w nim zmiany, dodać nowe hasła, edytować go, można również słownik wydrukować w wielu wersjach, nie zmieniając niczego w podstawowych plikach. Na przykład, gdybym chciał mógłbym wypuścić wersję dla Polaków, w której byłoby mniej lub żadnych informacji o polskiej odmianie. Tak samo można wydać również

wersję dla Norwegów, w której pomija się wszystkie informacje o wymowie norweskiej.

Pański słownik obejmuje bokmål. Jednak jak wiadomo w Norwegii funkcjonują również inne odmiany języka nynorsk, riksmål i dialekty. Czy słownik uwzględnia w jakimś stopniu te odmiany języka?

- Uwzględnia do pewnego stopnia, ale nie w pełni, bo byłoby to niemożliwe. Istnieją słowniki, w których próbowano to uwzględnić, ale moim zdaniem były one nieudane, np. jak pierwszy słownik norwesko-angielski. Jakkolwiek nie uwzględniam tego, to wprowadzam trochę haseł gwarowych, które są uwzględnione w większym stopniu niż w innych współczesnych słownikach. Ale są to słowa i formy dosyć rozpowszechnione, które pojawiają się w języku pisany. Sytuacja językowa tutaj jest o wiele mniej wyklarowana niż sytuacja w Polsce, co stwarza trudności dla leksykografa, opracowującego słownik.

W Polsce właściwie nie ulega wątpliwości jaka jest norma. Choć oczywiście istnieją formy oboczne i można dyskutować czy mówić *Norwedzy* czy *Norwegowie*.



Mówiliśmy o różnicach, a co jest wspólne dla obu języków?

- Wpływ języka angielskiego. Zapożyczenia angielskie mają łatwiejszy dostęp do norweskiego, ponieważ języki te są podobne. Umożliwia to upodobnianie angielskich wyrażen do norweskich. Podczas, gdy w języku polskim jest to trudniejsze. W słowniku oczywiście trzeba uwzględniać nowe słowa, również angielskie, nawet, jeśli nie zawsze są to słowa, które leksykograf

chciałby umieścić w słowniku. Ale język jest taki, jaki jest. Uwzględniłem również słowa z dziedziny technologii komputerowej, bo też jest to coś, co należy do nowoczesności.

W mojej pracy często poszukuję znaczenia słów z dziedziny religii i Kościoła. I przyznam, że w słownikach, z których korzystałam do tej pory brakuje takich pojęć. Czy w Pana słowniku je znajdę?

- Tak, są tu pojęcia związane z Kościołem katolickim. Przykładem może być słowo *ferming*, czyli bierzmowanie. Słowo to nie jest używane w Kościele protestanckim. Pojawia się również ciekawe słowo *retrett*, które w Kościele katolickim oznacza rekolekcje. Natomiast protestanci używają w tym samym znaczeniu słowa angielskiego *retreat*.

Myślę, że nie ma drugiego takiego słownika norwesko-polskiego, który by się tak szczegółowo rozwodził nad znaczeniem tego rodzaju słów.

Jest Pan też znakomitym tłumaczem, tłumaczył pan wiersze polskich poetów, Szymborskiej, Herberta i Różewicza. A także *Dolinę Issy* Miłosza. Ciekawi mnie, którego z polskich poetów lubi i ceni pan najbardziej?

- Tłumaczenie wszystkich tych trzech poetów sprawiało mi

przyjemność, zwłaszcza Herberta. Wyzwaniem była dla mnie *Dolina Issy*, właśnie ze względu na swoją specyfikę. Jeśli nie mielibyśmy się ograniczać do pisarzy polskojęzycznych, to muszę powiedzieć, że cenię austriackiego pisarza Roberta Musila, tłumaczyłem jego *Człowieka bez właściwości*. To bardzo inteligentny autor i przepracowany tekst, bo swoje rzeczy przepisywał dziewięć, dziesięć razy. Ale pani pytanie jest trudne, bo to jest trochę tak, jakby pani chciała zapytać ojca lub matkę, które dziecko kochasz najbardziej.

Rzeczywiście, powinnam zadać inne pytanie: czy jest jakiś autor, którego chciałby pan przetłumaczyć?

- Trudno mi powiedzieć, bo przez ostatnie lata tkwiłem w leksykografii i w ograniczony sposób śledziłem, to, co się dzieje w literaturze polskiej. Ale pojawiają się nowi tłumacze i bardzo mnie to cieszy, że polska literatura jest nadal tłumaczona i istnieje zainteresowanie polską literaturą.

Ole Michael Selberg (ur. 1938) - norweski tłumacz i leksykograf. Przetłumaczył na język norweski między innymi poezję Herberta, Szymborskiej i Różewicza oraz *Dolinę Issy* Miłosza. I 1983 otrzymał Bastianprisen (nagrodę

Stowarzyszenia Norweskich Tłumaczy) za tłumaczenie sztuki Tadeusza Różewicza Białe małżeństwo.

TeX - komputerowy system profesjonalnego składu drukarskiego, obejmuje on zarówno specjalny język jak i kompilator przygotowujący pliki w formatach wymaganych przez urządzenia graficzne. Program jest używany do składania tekstów naukowych. Jego twórcą jest amerykański matematyk i informatyk Donald E. Knuth.

Wywiad pochodzi ze strony:

<http://www.katolsk.no/>

<http://www.katolsk.no/nyheter/2018/03/z-milosci-do-jezyka--wywiad-z-ole-michaelem-selbergiem>

Książki dla dzieci uczą świata



Małgorzata Piotrowska

Z polską rysowniczką tworzącą w Norwegii, Małgorzatą

Piotrowską, rozmawia Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon: Skończyłaś poważne studia na renomowanej uczelni, czyli warszawską Akademię Sztuk Pięknych na Wydziale Projektowania Graficznego. Dlaczego zajęłaś się ilustrowaniem książek dla dzieci? Od początku miałaś taki pomysł na życie i karierę zawodową?

Małgorzata Piotrowska: Oczywiście nie miałam takiego pomysłu. Studiowałam Projektowanie graficzne, czyli plakat w pracowni Macieja Urbańca. Od początku ciągnęło mnie jedna do literatury i obrazu. Mój dyplom to były plakaty, ale wybrałam sentencje z Gogola i Czechowa, które mi się podobały i zrobiłam do nich rysunki. Na przykład do zdania „Każdą rzecz można pogorszyć, chcąc ją uczynić lepszą”. Namalowałam do tego obrazek pięknego jabłuszka, w którym odbijał się ogryzek. W czasie studiów miałam również kontakt z wydawnictwami, dostawałam okładki do zaprojektowania. Czytałam dużo literatury. Nie wiedziałam, co chcę robić, ale miałam poczucie, że studia to przeciągnięcie o pięć lat poczucia, że „wszystko mogę”, gdy tak naprawdę potem nie będę mogła już nic.

MTM: Czy słowo było dla ciebie równie ważne jak obraz?

MP: Tak. Ważne dla mnie były również teksty piosenek, czyli tzw. poezja śpiewana. Wychowałam się na Młynarskim,

Kabarecie Starszych Panów, Grechucie, Magdzie Umer. Słowo było ważne, ale nie słowo powiedziane wprost, tylko takie, za którym kryje się jakaś tajemnica, obietnica. Ale wracając jeszcze do studiów, to Urbaniec mi powiedział, że na pewno będę się zajmować ilustracją. Od razu zauważył moją malarskość, impresjonistyczność.

MTM: Wygląda na to, że jesteś „urodzoną ilustratorką”.

MP: Zawsze wydawało mi się, że książka dla dzieci ma duży potencjał, że można w niej mówić o rzeczach ważnych, ale, że można też z przymrużeniem oka schować się za zabawę. A poza tym jestem dużym dzieckiem. To dziecko jest we mnie cały czas. Zawsze byłam zafascynowana ilustracją w książkach dla dzieci. Jak byłam dzieckiem kochałam oglądać i „obwąchiwać” książki.

MTM: Jakie cechy ma według ciebie dobra książka dziecięca?

MP: Tak naprawdę wszystko zależy od tego, co lubisz. Będę jednak przy tym trwała, że dobra książka dla dzieci powinna zawierać humor. Nie lubię ciężkiej literatury dziecięcej, która zмага się z trudnymi problemami.



Ilustracja z serii „Fire sider av en katt” (Cztery strony kota),



Ilustracja z serii „Fire sider av en katt” (Cztery strony kota).

MTM: Teraz będzie banalne pytanie: czy trudno zrobić dobrą książkę dla dzieci?

MP: Jakby było łatwo to miałabym same bestsellery (Śmiech).

MTM: Gdzie leży największa trudność?

MP: Każda moja książka zaczynała się od impulsu.

Przypuszczam, że tak samo jest z pisaniem. Wychodzę od jakiejś sytuacji, która się stopniowo sama rozwija. Często sobie coś tam notuję, szkicuję. I nagle z jednego spontanicznie zapisanego szkicu buduje się historia. Ale na tym polega trudność, na ułożeniu wciągającej historii. Książka powinna mieć swoje tempo, punkty dramaturgiczne, powinna być zbudowana trochę filmowo. Tworzenie książki jest jak reżyserowanie, bo trzeba sobie poradzić zarówno ze słowem, jak i z obrazem, a więc panować nad „aktorami”.

MTM: W jaki sposób zamieszkanie w Norwegii wpłynęło na twoją twórczość?

MP: Po przeprowadzce do Norwegii, zaczęłam myśleć, że w książkach dla dzieci nie musi istnieć tylko bajkowy świat. Pogodziłam się z tym, że książki mogą być osadzone w codzienności, w rzeczywistości. I że w tym też można szukać poezji i głębi transcendentalnej. Mieszkasz tutaj i zaczynasz patrzeć. W każdym miejscu coś nowego ci się otwiera. Uświadamiasz sobie coś, o czym nie myślałaś wcześniej.

Zaczynasz nasiąkać norweskością, również poprzez wrażenia wzrokowe. W moich obrazkach pojawiły się klimaty norweskie: morza, lasy, góry. Norwegia ma bajkowe krajobrazy, więc rozbudowuje wyobraźnię. Jeśli pojedziesz na norweską prowincję zobaczysz jak morze spotyka się z niebem, zobaczysz wodospady,

mgły. Wcześniej tego nie widziałam, nie miałam olśnień czymś tak bajecznym. Na przykład niezwykłym światłem, jakie tu jest, tym, co się dzieje podczas białych nocy, gdy niebo jest niemal białe a kontury wszystkiego są czarne, i że to wszystko odbija się w wodzie. Jasne niebo i czarne kontury. Że zachód słońca jest kontrastowy, ostry. Jak człowiek jest wzrokowcem, to wchłania w siebie wszystkie obrazy. W Norwegii przeszło całe moje dorosłe życie, tutaj dojrzałam, stałam się mamą, patrzyłam jak moje dziecko się rozwija, jakich ma kolegów, jak dzieci tutaj się zachowują. Wszystkim tym nasiąkasz i potem wkładasz bardziej lub mniej podświadomie w swoje książki.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Czy na przestrzeni lat zmieniała się twoja technika?

MP: Tak. Najpierw byłam zafascynowana akwarelą. Płynące akwarele zaczęły się jeszcze w Polsce, gdzie udało mi się zrobić jedną książkę dla dzieci. Zilustrowałam baśnie hiszpańskie pt. *Cztery pomarańcze miłości* (aut. Carmen Bravo-Villasante, wydane w r. 1987). Było to niestety wydane na fatalnym papierze, jednak ilustracje stworzone techniką płynącej akwareli wyszły dobrze. Z czasem zaczęłam jednak chcieć panować nad farbą. Może wynikało to z cech mojego charakteru, z tego, że zaczęłam lepiej panować nad swoim życiem (śmiech)? Chciałam wykorzystywać tę technikę bardziej świadomie, a więc, że pozwolę płynąć tej wodzie, ale nie do końca, że w pewnym momencie ją zatrzymam. A potem zaczęłam potrzebować większego kontrastu, uderzenia formy, przestałam się bać pokazać swoją kreskę. Już jej nie zamazywałam, jak wcześniej, gdy pracowałam bardzo cienkim rapidografem z tuszem w środku, tak żeby te kontury i kreseczki znikaly. Był cień, rozlewanki, ale kreski nie było widać. W ostatnim czasie pojawia się więc kreska i zamaszystość. I to mi się bardzo podoba, bo pomaga grać na bardzo różnych strunach, znajdować mocne akordy. Często buduje to ciekawą narrację.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Jakie książki polskich autorów cenisz?

MP: Wychowałam się na Brzechwie, jak podejrzewam, każdy z mojego pokolenia. Na Tuwimie trochę mniej. Brzechwę uwielbiałam za jego abstrakcyjny humor, za jego cudowne historyjki i wierszyki. Jedną z moich ulubionych książek była *Na wyspach Bergamutach* z ponadczasowymi ilustracjami Zamecznika, obrazkami, które tak naprawdę mogłyby być zrobione teraz. Lubiłam też prace Mirosława Pokory. Zilustrował świetną książeczkę *Babcia na jabłoni*. Oczywiście także Butenko. *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, *Cyryl gdzie jesteś?* Te książki miały trochę z kryminału, miały akcję, dużo humoru,

zarówno w tekście jak i ilustracjach. Zawsze lubiłam takie opowieści i może dlatego jestem tradycyjna w moich poglądach na książki dla dzieci. Mam więc wątpliwości, co do trudnych, czasem drastycznych tematów, które są obecnie lansowane w literaturze dla dzieci. Zastanawiam się czy one pasują do książek dla dzieci. Choć z drugiej strony, myślę, że też jest dla nich miejsce i że takie książki powinny powstawać. Jednak nie należy się dziwić, że nie są pierwszym wyborem czytelniczym.

MTM: Co sądzisz o współczesnej książce skandynawskiej dla dzieci?

MP: Norwegowie poprzez swój pragmatyzm reagują szybko na to, co się dzieje w codzienności. Zmiany w świecie, aktualne problemy niemal natychmiast pojawiają się w norweskich książkach dla dzieci. Ale jednocześnie norwescy pisarze mówią o tych problemach językiem przystępnym, ciekawym i niepozbawionym dobrej literackości. Podziwiam ich za to, że potrafią oddać istotę problemu, jego ciężar, a przy tym nadać mu pewną lekkość i przyswajalność. Pamiętam piękne słowa Sveina Nyhusa, dotyczące Breivika, które padły w jednym z wywiadów dla polskich czytelników. Zapytano go czy mogłaby powstać książka dla dzieci o kimś takim. Odpowiedział, że tak, bo dzieci o to pytają i trzeba im odpowiedzieć. Wyjaśnił, że dzieciom się mówi, że to jest chory człowiek. To takie osvajanie problemu. Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło, ale szanuję Norwegów

za to, że w bestii potrafią się doszukać człowieczeństwa. To głęboki humanizm.

MTM: A czy podjęłabyś się karkołomnego zadania porównania polskiej i skandynawskiej literatury dla dzieci? Chodzi mi przede wszystkim o różnicę, bo myślę, że podobieństwa są łatwiejsze do wskazania.

MP: Na pewno polska książka dla dzieci jest lżejszego kalibru niż skandynawska. Bardzo często jest ona „zabawą dla zabawy”. Jednak teraz np. poprzez kontakty między wydawnictwami i globalizację wszystko zaczyna się przenikać. Efektem tego jest np. pojawianie się trendu edukacyjnego, w Polsce w książkach Mizielińskich, a w Norwegii u Anny Fiske. Książki stają się coraz bardziej interaktywne, czytelnik musi czegoś szukać, coś budować.

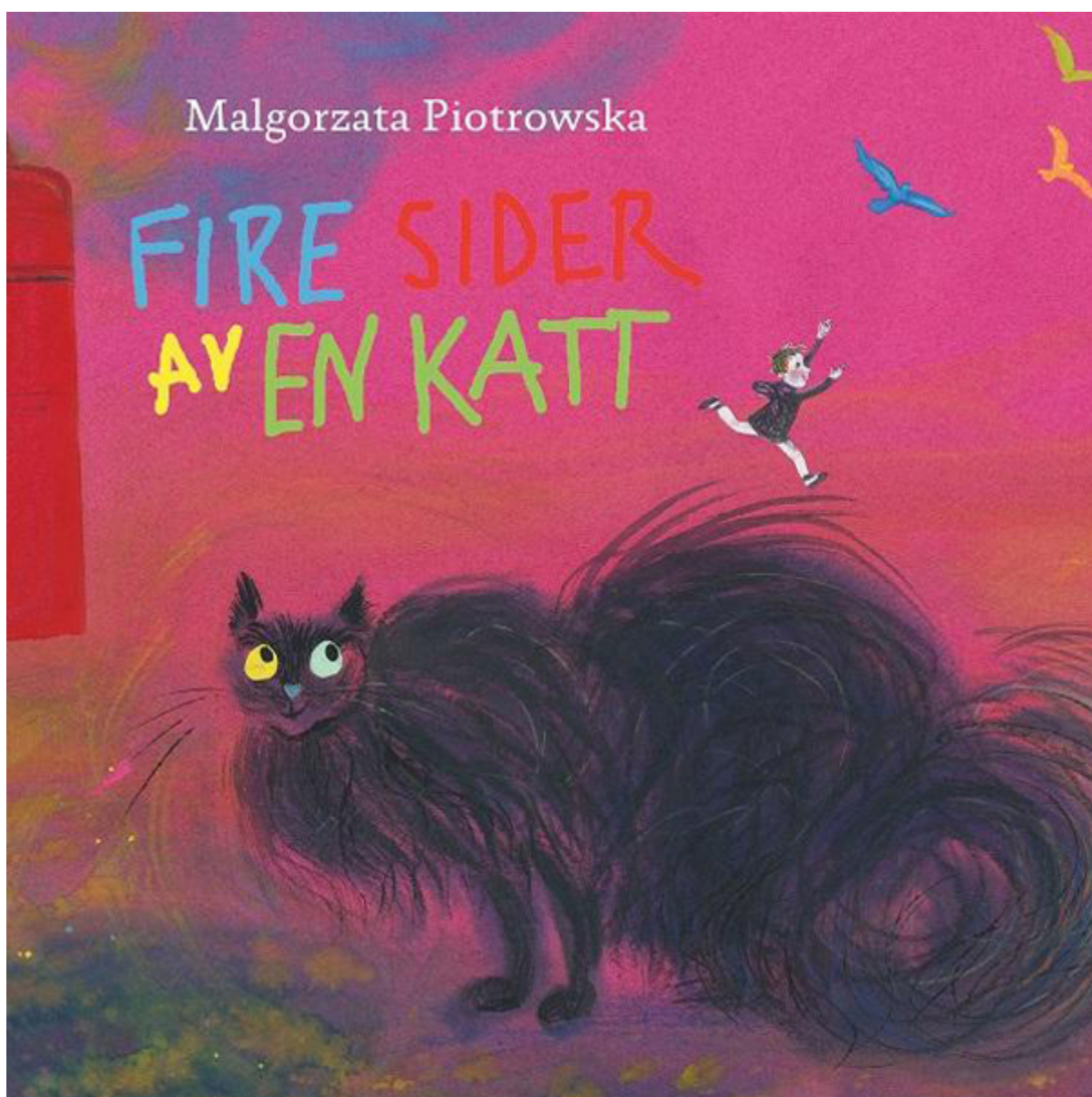


Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Dlaczego książki dla dzieci są ważne?

MP: Są ważne, bo uczą świata, najpierw czytać, potem kojarzyć pewne rzeczy, łączyć obraz ze słowem na podstawowym poziomie. Potem pomagają formułować swoje myśli, żeby można było się coraz lepiej komunikować ze światem. Potrafią również ten świat jakoś tłumaczyć i znaleźć wskazówki. Po prostu kształtują i tyle. Dzieci zaczynają lepiej mówić, poszerzają swój język. Uczą się nowych słów, bo tak jak się pisze w książkach, tak się przecież nie mówi na co dzień. Jako małe dziecko miałam taką zabawę, że wypisywałam sobie słowa, których nie rozumiałam i sprawdzałam je w Wielkim słowniku wyrazów

obcych. Było to zabawne, bo czasem były to słowa łacińskie, albo francuskie i nie za bardzo umiałam je wymawiać. Pamiętam jak kiedyś tata wyśmiał tę moją wymowę. Byłam oburzona, bo przecież używam słowa w dobrym kontekście, a on się ze mnie śmieje?!



MTM: Pod koniec zeszłego roku wyszła twoja najnowsza

autorska książka *Fire sider av en katt* (Cztery strony kota). Rysunki są przepiękne i z pewnością trafią do serca małych i dużych czytelników. Pokochają tę książkę również miłośnicy kotów, czyli jakieś 50% ludzkości. Skąd u ciebie taka miłość do kotów?

MP: Cztery strony kota - czyli spokój i samotność freelansera postawiona na głowie z powodu pewnego kota, który w mroźny, zimowy wieczór pojawił się u nas i postanowił z nami zamieszkać. Ten projekt budował się długo, powstawał z fascynacji i obserwacji kociego absolutnego bycia i życia.

Pracownia w domu ma to do siebie, że można w niej utknąć i w ogóle nosa na świat nie wystawiać. W okresach dużego natłoku pracy albo posuchy i desperackich rozmyślań, co by tu zrobić, żeby dostać nowe zlecenie, staje się swego rodzaju pustelnią, śmietnikiem, gdzie fruważą nieposegregowane, okruszki pomysłów, papiery, farby, notatki, szkice, wzloty i frustracje. I nagle w ten cały mikrokosmos wkracza czarne kocisko, pojawia się świat zupełnie nieznanym lecz fascynującym.

Jest takie powiedzenie „jesteś całym moim światem „. Kot w pracowni rozrasta się do rozmiarów wielkiego krajobrazu, w którym wciąż coś się dzieje. Ja staję się jego obserwatorem, skrupulatnie notującym, szkicującym, to, co podsuwa mi samo życie. Tak więc kot w mojej historii jest ogromny, nie jest

zwykłym kotkiem, którego bierze się na kolana i głaszcze. Jest kotem tajemniczym, niezależnym, zresztą sama nazwa długowłosego kota norweskiego ma w sobie magię - Leśny, norweski kot.

Kot chce wejść, za chwilę wyjść, potem znowu wejść, zbiera w swoje futro kolorowe papierki walające się po pracowni, potrafi otrzeć się futrem o rozrobione farbki, pije brudną wodę z naczynka do płukania pędzelków, w mojej wyobraźni jest coraz bardziej kolorowy. Kiedy wraca do domu przynosi w sierści okruszki świata, po którym buszuje: patyki, listki, ślimaki, zasuszone muszki, ale też ptaszki i myszki. Kiedy pada śnieg staje się niemal biały i w prezencie przynosi płatki śniegu na czarnej sierści. Po tym, co wnosi na swoim futrze poznać można zmieniające się pory roku. Czarny kot ma w sobie wszystkie kolory świata.

Stąd pomysł na kota, który zmienia się wraz z czterema porami roku. Chłopiec w mojej historii, nie umie znaleźć dla niego odpowiedniego imienia. Najpierw nazywa go Zima, potem Wiosna, potem Lato, a potem Jesień, by w końcu znaleźć mu imię, które na prawdę do niego pasuje.

W Norwegii panuje taki zwyczaj, że rodzice czekają z imieniem jakiś czas, żeby lepiej poznać swoje dziecko - trochę dziwne prawda?, ale wpisało się świetnie w ten pomysł. A cztery strony

kota w tytule są nie tylko nawiązaniem do czterech pór roku. Są bardzo realne, bo na końcu jest propozycja zabawy, czyli przepis na wycięcie sobie z papieru kota- zakładki do książek. Kota z czterema stronami i pokolorowanie go w cztery pory roku. Jako dziecko robiłam sobie takie zwierzaczki i lalki i bawiłam się nimi, więc dużo wspomnień i moich chwilek jest w tej książce.



MYM: W 2016 roku za cykl książek *Fest og feiring* (Święta i celebrowanie/obchodzenie świąt) razem z Gudny Ingebjørg Hagen, która jest autorką tekstów zostałaś uhonorowana Brage Prisen, jedną z najważniejszych nagród literackich w Norwegii. Serdecznie gratuluję. Jury doceniło zarówno pomysł serii, jak i wykonanie, a więc tekst i twoje rysunki. Na czym polega wyjątkowość tego projektu? Czy praca nad nim stanowiła wyzwanie?

MP: Seria książek o świętowaniu i świętach w różnych religiach, którą tworzyłam z Gudny to zupełnie coś innego. Ogromna praca ze stworzeniem wiarygodnego miejsca, osób, detali. Wymagała intensywnej i ścisłej współpracy z autorem i redakcją. Były różne fazy. Najpierw zostałam wybrana spośród innych ilustratorów. Potem była faza zbierania materiałów do poszczególnych świąt, czyli spotkania z ludźmi z różnych kultur, którzy byli skłonni opowiadać, pokazywać zdjęcia, wpuszczać nas do swoich domów, żeby pokazać swoją kulturę. To są ludzie, którzy tu żyją i są zintegrowani, funkcjonują w norweskiej kulturze, ale jednocześnie mają swoje religie, obyczaje. I trzeba to było pokazać, że chociaż różnią nas religie to świętujemy podobnie – w radości oczekiwania, szykowania się, przygotowywania jedzenia, są bliscy, często drobne prezenty, niespodzianki. Chodziło przede wszystkim o pokazanie, jak jesteśmy wszyscy do siebie podobni. Czułam się trochę jak demiurg, bo to ja miałam stworzyć to miejsce, tę ulicę, na której ci wszyscy ludzie mieszkają. Stworzyć wiarygodne postaci dzieci i dorosłych, stworzyć ramę i furtkę, która otwiera w podobny sposób każdą z książek tej serii.

pięciu religiach. Biorąc pod uwagę, że mam już swoje lata i wielu rzeczy nie wiedziałam, są to ważne książeczki w ogólnej edukacji, w świecie, który tak się wymieszał, tak nas podzielił, ale jednocześnie do siebie zbliżył. Musimy się poznać, zaakceptować, polubić i zrozumieć.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

Małgorzata Piotrowska (ur. 1957) jest jedną z najciekawszych ilustratorek książek dziecięcych w Skandynawii. Do Norwegii wyjechała w roku 1987 i już niespełna trzy lata później

zadebiutowała jako ilustratorka. Ma na swoim koncie ponad siedemdziesiąt publikacji, w tym osiem książek autorskich: *Oliver hos fuglene*, *Regnhesten*, *Et tre*, *Froskedronningen*, *Eplekake*, *Det lille marsvinet og den store katastrofen i hagen*, *Krokodille til jul*, *Fire sider av en katt*. Laureatka wielu nagród m.in.: nagrody norweskiego ministerstwa kultury, dwukrotnie nagrody „Najpiękniejsza książka roku” przyznawanej przez norweskie stowarzyszenie rysowników Grafill oraz Brage Prisen. W roku 2015 została również uhonorowana nagrodą „Wybitny Polak w Norwegii” w kategorii Kultura.